

# Fiodor Dostojewski

## Chłopczyk na gwiazdce u Pana Jezusa

1

### Chłopczyk z rączką

Dzieci to dziwne stworzenia, widzi je człowiek we śnie i w wyobraźni. Przed Wigilią i w czasie świąt wciąż spotykałem na ulicy, na którymś rogu, pewnego chłopaczka, mógł mieć najwyżej siedem lat. W straszny mróz był ubrany prawie jak w lecie, ale szyję miał owiniętą jakimś starym łachem — widocznie ktoś go jednak ekwipował, posyłając na ulicę. Chłopiec ten chodził „z rączką”; jest to termin techniczny, znaczy — chodzić po prośbie. Termin wymyślili sami ci chłopcy. Takich jak on jest mnóstwo, kręcą się na naszej drodze, zawodząc jęklonie coś wyuczonego, ale ten nie zawodził, mówił jakoś niewinnie, bez rutyny i z ufnością patrzył mi w oczy — a więc rozpoczął dopiero ten zawód. Na moje wypytywania oświadczył mi, że ma siostrę, bezrobotną, chorą; może była to nawet prawda, ale dowiedziałem się potem, że takich chłopców jest bez liku: posyła się ich „z rączką” nawet w najsroższy mróz i jeżeli nic nie uzbierają, to na pewno czeka ich bicie. Nazbierawszy kopiejek chłopiec wraca z czerwonymi, skostniałymi rękami do jakiejś sutereny, gdzie pije jakaś banda łapserdaków, z takich, co to „zastrajkowawszy w fabryce w nocy z soboty na niedzielę, wracają do pracy dopiero w środę wieczór”. Tam, w piwnicznych izbach, piją z nimi ich głodne, bite żony, a tuż obok piszczą głodne dzieciaki. Wódka, brud i rozpusta, ale przede wszystkim wódka. Chłopaka z uzbieranymi groszami od razu posyła się do szynku, aby przyniósł jeszcze wódki. Dla zabawy jemu czasem też wleją do ust setkę i rechocą, kiedy krztusząc się pada niemal zemdlony na podłogę:

**...I do ust wódkę wstrętną mi  
Nielitościwie lał...**

Kiedy chłopak podrośnie, pozbywają się go czym prędzej do jakiejś fabryki, ale wszystko, co zarobi, znów musi oddawać łapserdakom, a ci znów przepijają wszystko. Ale jeszcze przed fabryką dzieci te stają się prawdziwymi przestępcami. Włóczą się po mieście i znają takie zakamarki w różnych suterenach, w których można się zaszyć i niepostrzeżenie przemocować. Jeden z nich nocował kilka razy z rzędu u pewnego stróża w jakimś koszu, a stróż go w ogóle nie zauważył. Naturalnie tacy chłopcy stają się złodziejaskami. Złodziejstwo staje się

nałogiem nawet u ośmioletnich dzieci; niekiedy nawet zupełnie sobie nie uświadamiają przestępczego charakteru swego postępowania. W końcu znoszą wszystko — głód, chłód, bicie — w zamian za jedną rzecz — wolność, i uciekają od swoich łapserdaków, aby się włóczyć na własną rękę. Takie dzikie stworzenie czasami nic nie rozumie i nie wie ani gdzie mieszka, w jakim kraju, ani jakiej jest narodowości, czy istnieje Bóg, czy jest cesarz; mówią o nich nawet takie rzeczy, że się wierzyć nie chce, a jednak są to wszystko fakty.

## 2

### Chłopczyk na gwiazdce u Pana Jezusa

Ale jestem powieściopisarzem i chyba pewną „historyjkę” sam zmyśliłem. Czemu piszę „chyba”, sam przecież wiem na pewno, że zmyśliłem, wciąż mi się jednak wydaje, że to się gdzieś kiedyś zdarzyło i zdarzyło właśnie w wigilię Bożego Narodzenia w jakimś olbrzymim mieście i w straszny mróz. Roi mi się, że był w pewnej suterenie chłopczyk, bardzo jeszcze maleńki, coś około sześciu latek lub nawet mniej. Ten chłopczyk obudził się rano w zimnej, wilgotnej piwnicznej izbie. Miał na sobie jakąś kapotkę i drżał. Oddech wydostawał mu się z ust na kształt pary, a on siedząc w kącie na kufrze z nudów umyślnie wypuszczał tę parę z ust i bawił się patrząc, jak wylatuje. Ale bardzo mu się chciało jeść. Z rana kilka razy podchodził do pryczy, gdzie na cienkiej jak naleśnik podściółce, z jakimś tobołkiem pod głową zamiast poduszki, leżała jego chora matka. Skąd się tu wzięła? Zapewne przyjechała ze swoim synkiem z innego miasta i nagle zaniemogła. Gospodynię tych kątów zabrano dwa dni temu na policję, lokatorzy się porozchodzili, jak to przed świętami, a jedyny łapserdak, który został w domu, leżał już całą dobę pijaniuteńki, nie doczekawszy się nawet świąt. W innym kącie izby skręcała się z bólów reumatycznych osiemdziesięcioletnia starowinka, która gdzieś kiedyś służyła za niańkę, a teraz konała samotnie, jęcząc, gderając i zrzedząc na chłopca, tak że nawet bał się już zbliżyć do jej kąta. Znalazł w sieni coś do picia, ale do jedzenia nie było nic, nawet skórki od chleba. Już po raz dziesiąty podchodził do pryczy, by zbudzić swoją mamusię. W końcu przeląkł się czegoś w ciemności: dawno już zaczął się wieczór, a światła jeszcze nie zapalono. Dotknąwszy twarzy mamusi chłopczyk zdziwił się, że wcale się nie porusza i jest taka zimna jak ściana. „Zimno tu bardzo” — pomyślał, powstał chwilę, wciąż trzymając bezwiednie rękę na ramieniu umarłej, potem chuchnął na swoje paluszki, żeby je ogrzać, i nagle, natrafiwszy na pryczy na swoją czapeczkę, po cichutku, po omacku wyszedł z suterenu. Byłby wyszedł już wcześniej, ale bał się w górze na schodach wielkiego psa, który cały dzień wył pod drzwiami sąsiadów. Teraz psa już nie było i chłopczyk szybko wyszedł na ulicę.

Boże, co za miasto! Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widział. Tam, skąd przyjechał, w nocy jest tak czarno, jedna tylko latarnia na całą ulicę. Niskie drewniane domki mają zamknięte okiennice; na ulicach ledwo się ściemni — nikogo, wszyscy siedzą zamknięci po domach i tylko wyją całe stada psów, setki, tysiące, wyją i szczekają przez calutką noc. Ale za to tam było ciepło i dawali mu jeść, a tu — Boże, żeby tak pojeść! A jaki tu hałas i turkot, jakie światła i ludzie, konie i karety, i mróz, mróz! Mroźna para aż bucha od zziąpanych koni z ich żarem dyszących pysków; skroś rozmiękły śnieg dzwonią o bruk podkowy, i wszyscy się tak pchają, i, o Boże, tak się chce jeść, żeby choć jakiś kąsek, i, ach, jak zabolaty nagle paluszki. Przeszedł stróż porządku publicznego i odwrócił się, żeby nie widzieć dziecka!

O, znów ulica! Ojej, jaka szeroka! Tu już go na pewno stratują. Jak oni wszyscy krzyczą, biegną, jadą, a światła tu ile, mój Boże! A to co? Ojej, jaka wielka szyba, a za szybą pokój, a w pokoju drzewko aż do samego sufitu: choinka, a na choince tyle świeczek, tyle złotych papierków i jabłuszek, a naokoło laleczki, małe koniki; po pokoju biegają dzieci, wystrojone, czyściutkie, śmieją się i bawią, i jedzą, i piją. O, ta dziewczynka zaczęła tańczyć z

chłopczykiem, jaka ładna dziewczynka! I muzyka gra, słyhać przez szybę. Patrzy chłopczyk, dziwuje się, już się nawet śmieje, a przecież go bolą paluszki u nówek, a u rączek zrobiły się całkiem czerwone, nie zginają się i bolą, jak nimi poruszyć. Nagle przypomniał sobie chłopczyk, że go tak bolą paluszki, zapłakał i pobiegł dalej... I znów widzi przez inną szybę pokój, tu też jest drzewko, a na stołach leżą ciasta, przeróżne — migdałowe, czerwone i żółte, i siedzą tam cztery panie, bogate, kto przyjdzie, temu dają ciasta, drzwi się otwierają co chwila i wchodzi z ulicy dużo panów i pań. Podkraść się chłopczyk, otworzył nagle drzwi i wszedł. Och, jak zaczęli krzyczeć, opędzać się rękami od niego! Jedna pani podeszła szybciućko i wsunęła mu grosik do ręki i zaraz otworzyła drzwi na ulicę. Jakże się przestraszył! Grosik od razu wypadł mu z ręki i zadzwonił po stopniach: chłopczyk nie mógł zgiąć swych czerwonych paluszków i utrzymać pieniążka. Wybiegł i popędził sam nie wiedząc dokąd. Chciało mu się płakać, ale się bał, biegnie sobie, biegnie i chucha w paluszki. Smutno mu się zrobiło, bo się poczuł taki sam jeden, i bał się, aż tu nagle, o Jezu! Cóż to takiego? Stoją ludzie tłumnie, dziwiają się: w oknie za szybą — trzy lalki, malutkie, wystrojone, w czerwonych i zielonych sukienkach, całkiem jak żywe! Obok nich siedzi jakiś staruszek i niby gra na wielkich skrzypcach, dwaj inni stoją, grają na małych skrzyneczkach i kiwają głowami do taktu, i patrzą na siebie, i usta im się ruszają — mówią, naprawdę mówią, tylko przez szybę nie słyhać. Chłopczyk najpierw myślał, że są żywi, ale potem się domyślił, że to laleczki, i nagle się roześmiał.. Nigdy jeszcze nie widział takich laleczek i nie wiedział, że takie bywają! Chce mu się płakać, ale śmiech go ogarnia, gdy patrzy na te laleczki. Wtem poczuł, że ktoś go chwycił z tyłu za kubraczek: jakiś duży, zły chłopak stał obok — i nagle walnął go w głowę, zerwał mu czapkę i podbił nogę. Chłopczyk upadł na ziemię, ktoś zaczął krzyczeć, on się zląkł, zerwał się i w nogi; biegł, biegł i nagle wpadł, sam nie wiedząc gdzie, do jakiejś bramy, potem na jakieś obce podwórko — i przycupnął za stosem drwa: „Tu nie znajdują, tu ciemno”.

Przycupnął i skurczył się, ledwo dysząc ze strachu, i nagle, całkiem nagle, zrobiło mu się tak dobrze: rączki i nóżki przestały boleć i tak mu było ciepło, ach jak ciepło, jak na piecu. Wtem wzdrygnął się: poczuł, że zasypia. Może by tu zasnąć? „Ale nie, posiedzę tu chwilkę i znów pójde popatrzeć na laleczki” — pomyślał i uśmiechnął się przypomniawszy je sobie — „zupełnie jak żywe!” I nagle mu się wydało, że jego mamusia zaśpiewała przy nim piosenkę. „Mamusiu, ja śpię, ach, jak się tu dobrze śpi!”

— Chodź do mnie na gwiazdkę, chłopczyku — szepnął ktoś nad nim cichutko.

W pierwszej chwili pomyślał, że to jego mamusia, ale nie, to nie ona. No to kto go zawołał — nie widać, ale ktoś się nad nim pochylił i objął go w ciemności, on wyciągnął do niego rękę i... i raptem... ojej, co za jasność! Jejcium, co za choinka! Nie, to nie choinka, nigdy jeszcze nie widział takich drzew! Gdzież on jest teraz: wszystko błyszczy, lśni, naokoło same laleczki — ależ nie, to są chłopcy i dziewczynki, tyle dzieci, a wszystkie takie jasne, i wszystkie kręcą się wokół niego, latają, całują go, biorą, unoszą ze sobą, on sam też leci, wtem widzi: jego mamusia patrzy i śmieje się do niego radośnie.

— Mamo! Mamo! Ach, jak tu dobrze, mamusiu! — woła do niej chłopczyk i znów się całuje z dziećmi, i chce im opowiedzieć czym prędzej o tamtych laleczkach za szybą. — Kto wy jesteście, chłopcy? Kto wy jesteście, dziewczynki? — pyta śmiejąc się i kochając ich wszystkich.

— To jest Panajezusowa choinka — odpowiadają mu dzieci. U Pana Jezusa jest zawsze Wigilię gwiazdka dla małych dzieci, które nie mają własnej gwiazdki.

...I dowiedział się, że ci chłopcy i dziewczynki byli takimi samymi dziećmi jak on, ale niektóre zamarzyły jeszcze w swoich koszykach, w których je podrzucano na schody przed drzwiami petersburskich urzędników, niektóre zacadziały na wsi, oddane przez dom sierot na garnuszek do biednych kobiet, inne zmarły przy wyschniętych piersiach swych matek w czasie głodu w ziemi samarskiej, jeszcze inne udusiły się od zaduchu w wagonach trzeciej

klasy, a, teraz wszystkie są tutaj, są teraz aniołkami u Pana Jezusa, a On jest wśród nich, wyciąga do nich ręce i błogosławi je i ich występne matki... A te matki też stoją tu wszystkie na boku i płaczą, każda poznaje swego synka, albo córeczkę, dzieci podbiegają do nich, całują je; ocierają im rączkami łzy i błagają, żeby nie płakały, bo im tu przecież tak dobrze...

Nazajutrz stróż znalazł na dole zwłoki chłopczyka, który wbiegł na podwórko i zamarł za stertą drew. Odszukano też jego mamę: zmarła jeszcze przed nim. Oboje spotkali się w niebie u Pana Boga.

No i po co zmyśliłem tę historię, tak nie pasującą do zwykłego, rozsądnego dziennika, w dodatku dziennika pisarza? Przecież obiecywałem pisać głównie o rzeczywistych zdarzeniach! Ale w tym rzecz: ciągle mi się coś roi, ciągle mam przywidzenia, że to wszystko mogło się zdarzyć naprawdę — to, co się stało w suterenie i za drzwami... A co do gwiazdki u Pana Jezusa — sam nie wiem, co wam powiedzieć, czy się to mogło zdarzyć, czy nie? Po to jestem w końcu pisarzem, by zmyślać.

1876

Przełożyła Maria Leśniewska

---